



Zdzisław Łożyński

Sygnatura notacji: **N0303**

Data urodzenia: **1926 r.**

Data nagrania: **15.04.2009 r.**

Miejsce nagrania: **Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Michał Kurkiewicz, Wojciech Muszyński**

Czas nagrania: **57 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Zdzisław Łożyński: Zdzisław Łożyński, urodzony w Warszawie.

W którym roku?

Zdzisław Łożyński: 1926. W jaki sposób udało się panu wyjechać z kraju, dlaczego musiał pan z kraju uciekać, kto był pana przewodnikiem? Ja byłem wywieziony z Pragi na Warszawę, na Wolę, z Woli do Pruszkowa, z Pruszkowa do Stutthofu. Ze Stutthofu wywieźli nas do Lipusza. Tam budowaliśmy te duże obozy dla esesmanów, olbrzymie miały być. Później, jak się sytuacja zmieniała, pognali nas na Brusy i to ludzi... Bo to tak w różnych miejscach te obozy budowali i dla esesmanów, i ludzie byli, pracowali, i takie te olbrzymie grupy się tam zebrały. Tam nas wzięli do kopania okopów, to później przez pola chodziliśmy, kopaliśmy okopy. Zanim pan mógł odejść, to trzeba było tyle i tyle metrów okopów wykopać i tak się to wlekło, aż prowadzili nas na Gdańsk. I skąd się rozeszła historia, że wsadzą nas na barki, wywozą, może i zatopią. I tam w jednym miejscu się zatrzymywaliśmy, zatrzymaliśmy się, bo musieli, bo nie było gdzie indziej. Gdzie był obóz tak zwany Dobrowolców. Rosjanie, ochotnicy z rodzinami mieszkali, to obóz nie był ogrodzony, a mieli puste baraki i nas tam wsadzili. I ja tam uciekłem, wykopałem sobie taki rów, przykryłem i schowałem się, bo to za parę dni Rosjanie weszli. I szedłem, tak jak mi kazali, w którym kierunku, ja później już po latach szukałem tej miejscowości, nie mogłem znaleźć. Do takiego urzędu niby, który był czerwony budynek parterowy. Wyrobili nam papierów na Warszawę. Tam dwie panie były, dobrze po polsku mówiły i mówią: „A tu, panowie, mamy dwóch Włochów i jakiegoś Łotyza. Wyprowadźcie ich. Jak wyjdziecie stąd, skróćcie w lewo, druga ulica w prawo i drugi budynek po lewo, tam wszyscy innej narodowości”. Mówimy: „Dobrze” „A my w tym czasie zrobimy wam

te dokumenty". Z chwilą, kiedy tylko weszliśmy przed drzwi, pepesze pod żebra, [niezrozumiałe] Mówię: „Przecież wy nas oswobodziliście wczoraj”. To nam powiedzieli, że „zamknij się taki nie taki”. Zaprowadzili nas, tak jak ona powiedziała, był ten budynek, to był dwupiętrowy czy piętrowy z przybudówką i korytarz wchodziło się. Nieduży. I ostro stopnie na górę do pokoju, i oni stali na dole, a ja tak wyszedłem na połowę tych schodów i taki pułkownik rosyjski wyszedł, i mówi do mnie: „Czy Bora znajesz?” A tak jak młody byłem, w głowie zagwizdało „Bora”, a ja mówię: „Les”. On mówi: „Nie, Bór”. A ja jemu mówię: „Bór, las, zagajnik, puszcza”. To tak parę razy się ścielim z tym. To na statku mówi: „Familia”. A ja mówię: „Nie, to żadnej rodziny o takim nazwisku nie znałem”. Krzyczę do tego mojego kolegi na dole, mówię do niego: „Czy w twoim baraku był ktoś od nas?” On mówi: „Nie”, to wtedy mówi do tych żołnierzy, „E tych epuścić, e tych za okno”. To ja mówię „epuścić” rozumiem, wypuścić, a tych za okno, sobie mówię, co z nimi będą robili, przez okno, za okno ich wyrzucali? A jak zszedłem na dół, oni otworzyli, takie wysokie drzwi były do piwnicy. I jak spojrzałem, to tam tak jak sardynki stali w różnych mundurach, różnych narodowości, cywile. Tylko główki się widziało. I ich tak zepchnęli z tych schodów, a my wyszliśmy. To wtedy spocony byłem, odepchnąłem i poszliśmy nazad do tego biura, a te panie mówią: „A to wy wróciliście”. Oni myśleli, że my nie wrócimy. No i wtedy już się zaczęło... Ja myślałem, że to inna sytuacja, ale człowiek później widzi, że za każdym Polakiem ruski stoi i tym podobnie, i to takie rzeczy mi się nie podobały, i w góry, zdaje się, teraz się nazywa Zieleniec. To był przed tym Zielony Las, Masarykova Chata, po czeskiej stronie. I tam spotkałem się z jednym w mundurze, niby lotnik, porucznik. Nie wiem dlaczego, ale on tak ze mną się złączył, ja się z nim złączyłem i on mi mówi: „Ja byłem w Płocku, ja muszę jeszcze, przylecę samolotem, mam dziewczynę do zabrania”. Ja mówię: „Ja idę na zachód”. I mówi: „To możemy razem, po co mamy iść osobno”. On mówi: „Nie, nie, to dobrze, to chodź ze mną”. Więc najpierw przejechaliśmy na stronę czeską, on dobrze po czesku rozmawiał, mówił, rozmawiał z tym komendantem okręgu. A oni mu mówią: „Jak was tu gdzieś złapią w tych okolicach, to wszystkich muszą przyprowadzić do mnie. Nie mogą odesłać za granicę ani nic, muszą przyprowadzić tutaj”. To mówi: „Nie potrzebujesz się martwić”. I on mi powiedział, że on był niby w Oświęcimiu, miał numer wybity na rękę, ale to takie na liczba, to można było jako jedynekę, siódemkę, czwórkę przeczytać. Później mówi, że jak uciekł, to był w partyzantce czeskiej, dołączył się i tym podobnie. I takie historie, on że niby był lotnik z Anglii i doszliśmy do Pragi. W Pradze on do hotelu, zameldował nas i zameldował, że jedziemy na zjazd przedstawicieli młodzieży polskiej, na zjazd do Paryża. Nie wiem, mnie zostawił, poszedł gdzieś, wrócił i przyniósł kartki żywnościowe. Dostał kartki żywnościowe. Tak że w hotelu mogliśmy jeść obiad, bo wtedy nam tylko kupony wycinali, tak że mieliśmy wyżywienie w hotelu. I on mówi: „Zobaczę, czy ja dostanę pieniędzy z ambasady polskiej na powrót do Polski”. Poszedł, ale mówi: „Nie, takie, nie takie, nauczyli się już”, mówią: „Przyjdźcie i tu mamy utrzymanie, i jak mamy, będziemy mieli grupę, to was odwieziemy do Polski”, bo mówi: „Przedtem nam dawali pieniądze na utrzymanie”, czyli on już musiał to zrobić coś przedtem. I później, idąc z nim na ulicy w Pradze, na raz żołnierz czeski krzyczy i salutuje, krzyczy: „Pan porucznik”, wita się z nim. Czyli on był w tej jednostce, gdzie ten czeski żołnierz. Uznali go jako porucznika. To coś prawdy było. I później z Pragi wydostaliśmy się z kłopotami na granicę, tu na Pilsen czy jak tam i później... – Jakimi kłopotami? – Bo bilety, chcieliśmy kupić bilety z Pragi na Pilsen. – Pilzno. – Do granicy. Ja mam na mapie. I on coś powąchał, że to coś nie coś z tego i woła policję, i my uciekliśmy ze stacji w Pradze. Później on znalazł jednego Czecha, który poszedł i kupił bilety, tak że my dojechaliśmy nie do granicy, daleko od granicy, a pociąg dalej nie szedł na noc trzeba było się zatrzymać na stacji, więc nie siedzieliśmy razem, siedzieliśmy osobno i szczęście dopisało, bo jak ta policja czeska przychodziła, to zawsze mnie ominęli i jego ominęli, a tych innych pytali się o papiery. Tak że na drugi dzień pchaliśmy się na hep, do granicy i tam myśleliśmy, że jesteśmy

przy granicy, bo to człowiek map nie miał. On się pyta Czeszki, bo on po czesku dobrze mówi, o granicę, a ona mówi: „A, tak, to tam”. „A to dobrze – on mówi – Dziękuję”. Ale on i ja, ja mówię: „Czyś...”, on mówi: „Tak, tak, ja też tak myślę”. Więc my poszlim w drugim kierunku i schowaliśmy się na cmentarzu, a później patrzymy, a ona na motocyklu z policjantem przyjechała i ona jemu mówi: „Tak, tu byli, pytali się, ja im pokazałem, żeby tam poszli”, to on w tamtym kierunku na motocyklu, żeby na pewno gdzieś, ale już nie wrócił, my daliśmy sobie parę godzin takiej przerwy i wtedy poszliśmy. Weszliśmy w las, w lesie spotykamy jakiegoś i po czesku do niego, a on mówi: „Verstehen nicht”. To po niemiecku go, a on mówi: „A to już jesteście w amerykańskiej strefie. Granica jest tam z tyłu”. Jest stacja kolejowa, nam pokazał, weszliśmy do stacji kolejowej i tam spotkaliśmy Żydówki, które też jechały tym pociągiem takim wieczorem. One w kacecie były. I one mówią: „Tak, w tym... Hof jest duży obóz polski dla wszystkich tych cywili”. Więc my dojechaliśmy, poszliśmy do tego obozu i w tym obozie dali nam pokój, łóżka, kolacje. Na drugi dzień rano on mówi: „Ja muszę wpaść do urzędu amerykańskiego”. Poszliśmy, ja na dole tak czekam, a on poszedł gdzieś na górę. Musiał znać swoje drogi, bo poszedł na górę. Zszedł i później mówi: „To już załatwione. To masz mydło dla siebie, ja mam dla siebie”, bo były ładne te kawałki toaletowego mydła. I tam w tym obozie był Polak z kompanii München. On stał na lotnisku, i on przyjechał po żonę, która w ciąży była, zabrać ją gdzieś, tam obóz był niedaleko, gdzie on stacjonował, że byli w pobliżu. Więc mówimy: „To dobrze, to pojedziemy z wami, przyłączymy się”. I się przyłączyliśmy, ale pociąg szedł tylko do Regensburga, na noc się znów zatrzymywał, dalej nie szedł, trzeba było następnego pociąg brać. W tym czasie jego żona już zaczęła spodziewać się, więc zabrali ją do szpitala w Regensburgu. On ją zostawił w szpitalu, a zanim dojechaliśmy do Regensburga, pociąg był znów z jakiejś innej kompanii, Polak. Miał pistolet i sobie tak przez okno strzelał jak pociąg jechał. Więc jak przyjechaliśmy do Regensburga, to już żandarmeria Military Police amerykańskie czekało i zabrało jego. On mówi: „Zostańcie tu, a ja z nimi pójdę”. I on poszedł z tymi Amerykanami, z tym Polakiem, za jakieś pół godziny wrócili i on wtedy oddaje ten pistolet temu Polakowi i mówi: „Nie wygłupiaj się w przyszłości”. Czyli cokolwiek było, Amerykanie mnie nie zaarrestowali, bo on może wcale nie popełnił, ale to w publicznym miejscu strzelać. Oddał jemu i pojechaliśmy do München wtedy z tym drugim Polakiem do jego kompanii, tam znów dali nam pomieszczenie, wyżywienie i my pytamy się o obóz szkoleniowy. A on mówi: „Tak, jest w Wetzlar i my właściwie – mówi – jutro taką półciężarówkę wysyłamy” do coś tam dowożą i coś będą zabierali, uzupełnienie czy coś takiego z tego obozu. Więc mówię: „My pojedziemy”. Więc my pojechaliśmy z nimi do Wetzlar. Tam w Wetzlar znów dostaliśmy pomieszczenie. Ja zostałem przyłączony do 11. kompanii. To był major Sznajder. Dowódcą obozu wyszkoleniowego był kapitan... Polak. Polak, tak. W tej kompanii był Sznajder, ale dowódcą mojego plutonu był Lenik, porucznik Lenik. Dali jemu inne pomieszczenie, później się jeszcze z nim pożegnałem, i on mówi: „Ja dostałem przydział w Hannover”. Dowództwo kompanii. Jadę do Hannover”. Czyli był dowódcą kompanii polskiej w Hannover. Z tego, co ja miałem powiedziane, i my się rozstaliśmy. A wtedy trochę przećwiczenia w tym Wetzlar, a najbliższa ta kompania, do której się dołączyłem, była w Regensburgu. I tam potrzebowali uzupełnienia bo więcej pracy było, bo to był wielki obóz dla jeńców wojennych. Sami esesmani tylko. Więc my mieliśmy wszystkie służby, na wieżach, między wieżami, do pracy, w środku obozu, bo obóz był podzielony na inne obozy, tak że te różne rzeczy, więc zawsze takie różne służby pełniło. I tam mnie dołączyli do tej kompanii 4125, do czwartego plutonu. Tam było dobre życie, bo w pierwszym wypadku to była tak jak stacja autobusowa, pociągowa i lotnisko połączone, bo to cała masa Amerykanów pracowała, bo obóz był ogrodzony, a też takie wygrodenie było, pomieszczenie dla personelu amerykańskiego, bo tam różne badania sprawdzali, tych wszystkich jeńców, jak przywozili ich, wyszukiwali. I Amerykanie tak samo jak my. Jadalnia była, że się szło do jadalni, siadało przy stole

i Niemiec, ten jeniec, znaczy już oczyszczeni przynosili jedzenie do stołu. Skończyłem, zabierali. W czasie obiadu orkiestra grała jakieś 40 czy 50 osób, do obiadu nam grała. W międzyczasie każdy pokój miał służbowego Niemca, czyli jak wstałem rano, zszedłem na śniadanie, to on posłał łóżka, później podłogę mył, zapasowe buty wyczyścił. To jemu każdy dał papierosa, tam inne rzeczy, więc on miał dobre warunki. To on już się tak opiekował tymi pokojami. I tam raz ja byłem na ochotnika, bo to nie musiało się być, ale byłem wolny i nie miałem nic do roboty, przywieźli całe grupy cywilów pod eskortą i takie malutkie odgródzenie mieliśmy, i tam ich wszystkich wrzucili, kto chciał, ja poszedłem, badałem. Oni mieli różne dokumenty, to my ich sprawdzaliśmy, bagaż, wszystko i ja tam jednego sprawdzałem, to on był w Krakowie przy gubernatorze Franku. Tyle, co rozumiałem, co czytałem, po niemiecku to niby niewinny, on w biurze tylko pracował, przysyłał, wysyłał listy i tym podobnie. I mnie to zdziwiło, że polski nie wysłał żadnej listy ludzi, których by potrzebowali, bo później, w niedługim czasie później Francuzi przysłali listę esesmanów, których wykaz Amerykanie mieli w obozie i ja byłem jednym z tych, co pojechaliśmy odwiedzić ich do Francuzów. Mieliśmy porucznika amerykańskiego, ale on nie dowodził nam, on tylko na załatwienie, jakby jakieś komplikacje były czy coś takiego, bo my mieliśmy nawet nie porucznika, a sierżanta czy coś takiego, tak jak pluton nasz, maszynowy karabin i to na dachu, na pociągu, towarowe za wyjątkiem dla nas osobowy wagon. I tam ich zawieźliśmy, przekazaliśmy Francuzom. I wróciliśmy, i wiem, że następny był taki wyjazd do Wiednia. Rosjanie zażądali. Ja nie byłem w tej grupie, ale ci inni, co byli, powiedzieli, jak dojechali, to Rosjanie nic nie chcieli od Polaków przyjąć, esesmanów, Amerykanie przyjęli i dostarczyli a Polacy zastąpili Amerykanów. I później stamtąd mój pluton został odesłany. To było znów pod granicę czeską. Tam kiedyś w lesie składali messerschmitty, fabryka messerschmittów. I tam ich pilnowali bo od drzewa do drzewa takie druty poprzeciągali, światła pozakładali i w namiotach tam spali, bo to nie było pomieszczeń. I mieliśmy też trzech czy czterech Amerykanów niewysokiej rangi. Sierżant, kapral i tym podobnie, ale znów oni technicznie, bo to Niemcy musieli ciąć drzewa, one były ładowane później na ciężarówki, wywożone do wioski, to pamiętam, Neue Kirche czy coś takiego. Taka większa wioska, była tam stacja kolejowa, ładowane na koleje, bo to cokolwiek Amerykanie, siły cywilne, okupacyjne potrzebowały na palenie co tam podobnie, więc oni to kontrolowali, ale nie nasz. My mieliśmy swoje służby, więc służba to była taka, albo się stało przy obozie dookoła, albo później jak jechali do lasu, jechało się do lasu, to każdy dostał pięciu i tak się ustawili wkoło, a oni ciąli te drzewa, ładowali. Jedzenie było dobre też, nie można powiedzieć, chociaż połowe, ale dobre. I tam głupia historia, nie wiem, czy pan się interesuje, tam wierzyć w duchy czy nie wierzyć w duchy. Zawsze przy wojsku się jakiś pies doczepi i dołączył się do nas. I on tak... Szli na służbę przy drutach, to on szedł, kładł się przy drutach, a nie mieliśmy dużej odległości, tylko parę metrów było, jeden od drugiego, co kawałki swojej drogi były i tak się zeszliśmy na równi, palimy papierosy, a ten pies zaczyna warczeć. Leży, znaczy wstaje i ta sierść mu staje, i on się zaczyna cofać do tyłu, w te druty kolczaste. I wtedy my zaczynamy słyszeć, ciężko powiedzieć, jakiś olbrzymi potwór, kilkaset metrów wysoki, idzie i te gałązki w lesie, to wszystko trzaska aż pęka i takie ciężkie odbicie, a ten pies już wyje. To my karabinki, „stój, halt, stop, będę strzelał, shoot”. To drudzy lecą znów, bo nie wiedzą, co się dzieje, ale widzą w naszym kierunku. Amerykanie też wylecieli z pistoletami. Przestaliśmy strzelać, cisza i wolno, tak jak przyszło coraz, to większy tak człowiek się patrzy w górę i nie widzi, a słyszy, odchodzi i odeszło. W dzień sprawdziliśmy, to nie był żaden jeleń albo coś takiego, bo uciekłby, w pierwszym miejscu by uciekł. Naturalnie, nie wiem, co było, nie trafili, bo drzewa, pociski poszły w drzewa. Jeżeli nawet minęło jedno drzewo, to uderzyło w drugie drzewo i nikt z nas nie powiedział, że my głupcy, bo wszyscy słyszeli, wszyscy widzieli, więc według, co my słyszeliśmy, tam różni jeńcy, niewolnicy składali i pracowali, tam cała masa była, zmarła, zastrzelonych, zabitych, gdzieś pochowanych, ale my nie mieliśmy czasu sprawdzać.

I potem się sytuacja polityczna zmieniła, i wieźli nas nazad do Regensburga, ale już nie do kompanii. Prywatne wille przydzielili nam, bo Amerykanie mieli takie prywatne dla rodziny oficerów i tym podobnie. Tam nas przydzielili i tam mieliśmy jakieś dwa tygodnie takiego odpoczynku, nikt nic nie robił. Ja chodziłem na babki albo do klubu, bo w Regensburgu mieliśmy własne kluby i później na stacje kolejowe, i resztę kompanii z obozu też przyszła na stacje kolejowe, na pociągi i jedziemy, my nie wiemy, dokąd jedziemy. Jedna rzecz, że mamy broń i mamy amunicję, bo tak patrzymy nieraz po stacjach, to tak, jedziemy w głąb Niemiec, później patrzymy się, dojeżdżamy do granicy czeskiej, znów gdzieś odjeżdżamy, to każdy mówił: „Aha, do Rosji nie będą nas wieźli, bo rozbroiliby nas przed tym”. I dojechaliśmy właśnie do Mannheim bo tam te pociągi dochodziły. Do samego obozu nie. I tam ciężarówki przyszły, i zabrały nas do tego obozu, i tam mieliśmy przeszkolenie. A w międzyczasie ten obóz wyszkoleniowy, on był nie duży, mały Wetzlar został zlikwidowany i ten kapitan objął dowództwo naszej kompanii.

Który kapitan?

Zdzisław Łożyński: Dachniewicz.

Dachniewicz?

Zdzisław Łożyński: – Tak. On był dowódcą – tego wyszkoleniowego... – Obozu w Wetzlar. Tak. A później został zlikwidowany, to ja nie wiem, co ten major. Wiem, że pułkownik Lenik opuścił ten obóz, bo on później przyjechał do Regensburga i ja go spotkałem. Znając go, on też w mundurze jeszcze był, wtedy w zielonych mundurach byliśmy i on mówi, że chce kogoś spotkać, jakiegoś podporucznika czy coś takiego. Ja mówię: „To niech pan idzie ze mną panie poruczniku”. On mówi: „Nie, nie, ja nie chcę wchodzić”. Zaraz go przyprowadziłem. I nie wiem, któż później powiedział, że on wrócił do Polski, na granicy został rozstrzelony czy coś takiego, ale to nie wiem, jaka to jest prawda do tego. On był przedwojenny oficer. Tam jakieś ciśnienie było, bo on był pełnym porucznikiem. Major niby miał być dowódcą tej kompanii, co ja się szkoliłem, to były wyższe rangi, powiedzmy, od kapitana, ale jak pojechaliśmy do tego na przeszkolenie, tam dali nam przeszkolenie, wszystko. Jak duży był ten obóz? To olbrzymi, bo to był niemiecki obóz marynarki czy coś takiego. To olbrzymie baraki, łaźnie, prysznice, toaletki. To był tylko polski obóz? Tak, tak, Amerykanie też tam byli, ale nie w sensie, żeby coś z nami mieli, dużo było, bo biura i tym podobne. – A ilu Polaków tam... – Tak, w tym obozie było kilka tysięcy naraz. I tam olbrzymi plac treningowy, nie na przeszkolenie, tam szkolili na samochody szoferów i inne rzeczy, mechaników i tym podobnie. I tam dali nam to przeszkolenie, i później jak po przeszkoleniu byli niby gotowi, miał przyjechać pułkownik czy generał, i ten nasz kapitan skończył swoją karierę tam, bo kompania stoi, chłopaki to tak jak jedna linia, wszystko według wzrostu, wszystko luksusowo, a on daje komendę: „Baczność, prezentuj broń” i nikt się nie rusza. Broń przy nodze i my stoimy. To całość. A ci już dochodzą, i to jego kariera się skończyła. Drugi objął i mówi wtedy: „Baczność, na ramię broń, prezentuj broń, na prawo patrz”, ten przeszedł inspekcję, zobaczył nas, tak jak pan na tych drugich fotografiach w Regensburgu widział, zadowolony, zasalutował. „Solem kompania”, bo nie mogą „ł” wymawiać. Kompania krzyknęła: „Czołem, panie pułkowniku” czy generale, nie pamiętam dokładnie. Jemu się to spodobało. I potem wzięli nas na przysięgę. Przysięga, my sprawdziliśmy, pytaliśmy się, to znaczy pytaliśmy się swoich oficerów i tym podobnie, czy to jest legalne, czy my nie popełniamy jakiegoś... A oni mówią: „Nie, nie, nic nie popełniamy”. Więc na przysięgę zeszedliśmy wszyscy, żeby to tak samo

wyglądało, to mieliśmy takie wiatrówki, to wszyscy w wiatrówkach i nie w hełmach. Bez pasów, w wiatrówkach, a takie czapeczki mieliśmy wełniane pod hełm, to my wszyscy w tym. Jeden honorowy pluton to nie z naszej kompanii, z innej, bo my w takim, nie w czworoboku, a w takim „U” staliśmy. I honorowy pluton w hełmach, tym podobnie, zdaje się „prezentuj broń” zrobili czy coś takiego i ten pułkownik, dowódca tego obozu, Amerykanin, odbierał tę przysięgę, to on po angielsku, tłumacz po polsku, a my powtarzaliśmy. I potem się skończyło. Na czym polegała ta przysięga? Na wierności służbie, dla Ameryki Północnej, Stanów Zjednoczonych i tym podobnie. Nie takiego, że nie będziemy, wie pan, przeciwko czy coś takiego, że dochowamy, więc to nie było nic takiego, że nas zobowiązywała do czegoś bezpośrednio. Wtedy też się gdzieś rozeszły słuchy, że prawdopodobnie będą włączali nas do kompanii amerykańskich, nie całych kompanii, powiedzmy, sekcje do plutonu, rozmieszczać nas z Amerykanami, że włączą nas do wojska amerykańskiego oficjalnie. To taka... Ja nie mam dowodów, to plotka była czy jak to, ale coś takiego się rozeszło. Do stopnia sierżanta tylko. Jak przyjechaliśmy do Norymbergi, to objęliśmy ten budynek, który poza miastem był, to była strzelnica. Strzelnica, ale to był olbrzymi budynek, to taka kawiarnia, restauracja i tym podobnie, że przed wojny czy policja, czy wyborowi ci na zawody treningowali, tam strzelali. I tam my byliśmy zakwaterowani. Pomieszczenie, znaczy jadalnia tym podobnie była mniejsza i już samemu trzeba było brać, i myć menażki. Tylko, że było łatwo, bo tylko zanurzaliśmy w wodę, i potem obok nas jakieś 500–600 metrów stała druga kompania, która stała w drewnianych barakach. Oni mieli olbrzymie sale, więc tam na pewnej uroczystości święta 3 maja czy jakiego tam, takie obiady były dla nas też tam, bo było więcej miejsca i wtedy dostarczane były do stołów obiady. Nie potrzeba było stać i tym podobnie. I tam też mieli taki ołtarz zrobiony z boku, przy jednym baraku, i tam nieraz ksiądz przyjeżdżał, i takie nabożeństwa się odbywały, to jak mieli wolnych chłopaków, to tak dwa plutony, trzy plutony z naszej kompanii, pluton z drugiej kompanii na te nabożeństwa i służbę tam objęliśmy w sądzie, gdzie sądzili tych Niemców. Objęliśmy służbę na murach, później wyższych wzrostem wybrali wewnątrz, to znaczy pracowali, na służbie byli przy tych, gdzie więźniowie siedzieli przy celach, to każdy stał przy celi, zaglądał do środka, a kilkudziesięciu pracowało w środku, gdzie przyprowadzali już niższej klasy Niemców na rozprawy sądowe. To mieli te białe, jak szaliki pod szyją, białe hełmy i białe rękawiczki, biała pałka, bez broni w pasie, przyprowadzili i stali. I reszta nas na mury jechała na 24 godziny. Tamtych później, jak przywieźli ich rano, wieczorem wracali. Inne posterunki, bo na przeciwko nas był hotel, przy hotelu ja też tam służbę pełniłem, to na cztery godziny i co cztery godziny zmiana była, ale do sądu, na mury na 24 godziny. To nie wszyscy byli na służbie, ale to taka zmiana była co cztery godziny wolne, jedzenie, mieliśmy to jedzenie dowieszone i odpoczynek. Tak że zawsze taka... Może by to było praktycznie, bo jednostki w pobliżu nie było, a tak to było kilkudziesięciu ludzi uzbrojonych na miejscu. I tam później ja, znaczy ja byłem obecny na jednej takiej służbie. Ten sędzia angielski, on był później pośłem, co go nie Rosjanie, a ci, Irlandczycy wysadzili go w powietrze w parlamencie w samochodzie. On uciekł z Kolnic. To jeden, który uciekł z Kolnic. On tam mieszkał. To była olbrzymia willa, to tam nas pojechało dwóch na 24 godziny. Tam były dwie Niemki, które sprzątały, doglądały, a nasza służba była tak od czasu do czasu, jeden z nas wyszedł, bo to olbrzymi ogród był dookoła. Sobie obszedł, przeszedł się i w garażu był taki piecyk na koks, dosypać koksu, usunąć taki na wpół spalony koks, bo to dawało gorącej wody i centralne ogrzewanie na cały budynek. A on, nie wiem, kiedy... Jak ja byłem tam na służbie, to ja go nigdy nie widziałem. On nigdy nie przyszedł. My w środku byliśmy, jak było zimno, deszcz padał, to nie było trzeba wychodzić na zewnątrz. I służby były znów całe na Erlenstegen, gdzie moja kompania stała. Jadąc tam z miasta, po lewej stronie było takie osiedle, znów takie wille, prywatne domki i tym podobnie, to Niemcy byli wysiedleni, a tam stały Amerykanki z wojska, cywile z biur, małżeństwa i tym podobnie, więc tam cała była pilnowana i nie-

którzy byli pilnowani indywidualnie. Tak jak ja stałem przy jednym, to był major, kapitan i porucznik, trzy kobiety mieszkały. Ja tam stałem przy domku, to już tam się stało. A one takie służby pełniły, że nieraz o północy szły do pracy czy w radiu, czy cokolwiek, takie różne. Tak że takie różne i służby były na tym placu parad Hitlera. Tam największe magazyny były paliwa. – To był ten stadion. – Stadion, tak. Beczki, kanistry z różnym paliwem, doły były pokopane, tak jak baseny kąpielowe, woda wlewana i inne rzeczy. To pilnowaliśmy tego dookoła. Nie daj Boże, jakby wybuchło, to jak bomba atomowa by poszło wszystko tam. Tam służby pełniliśmy. A resztę to takie różne też się trafiały. Też jedna była niedaleko od nas, z naszej kompanii, była taka mała fabryczka i tam składali Panther czy Tiger czołgi, Niemcy i Rosjanie zabierali to. I tam był ten rosyjski oficer czy coś takiego, i tam jeszcze taki jego szofer, przyjeżdżali i oni robili, mierzyli wszystko, bo później te maszyny, wszystko było rozbierane i ładowane, i wywożone do Rosji, więc oni robili cały plan, tak jak Niemcy mieli, zanim zostanie rozebrany. I Amerykanie pozwalali na to, żeby... A to takie odszkodowanie niby było dla Rosjan, to oni dla Polaków na pewno też to dobrali, to odszkodowanie w imieniu Polaków. Więc zachowali się z nami dosyć grzecznie. To człowiek, oficer, z którym się zsalutowało, to zsalutował też, a z tym szoferem to rozmawiałem, to on mówi tak: „Oni też w prywatnym domku mieszkają, mają Niemkę, to ona im gotuje jedzenie i tym podobnie, tam mieszkają”. Tak że stosunki były poprawne. Nie było tam... Nikt się nie patrzył, a właściwie jeden z naszych złapał Niemca, bo co my robiliśmy, kilku nas jechało, bo na przedmieściu Norymberga był obóz jeńców też i tyłu, i tyłu Niemców, i się przywoziło, i oni tam pracowali, bo i maszyny pracowały, tylko już nie czołgi, ale inne takie rzeczy wyrabiali, zamki i takie inne rzeczy. A później ich odwozili nazad do obozu, a i cywile tam pracowali. Jeden Niemiec, jeńiec, brał ten dokument od tego cywila, jak wychodząc, pokazał dokument cywilny, to możesz wyjść, bo nie jesteś jeńcem, a ten cywil wchodził w jego szeregi, a ten cały dzień gdzieś poza Norymbergą czy w Norymberdze, nie wiem, był. Jeden zauważył to. Jedna służba taka, druga i wtedy zameldował, i wtedy do nas, nasi Amerykanie przyjechali też, i tamten przyjechał nazad, żeby wejść, to jego zatrzymali, tak że nie mógł wejść i oddać dokumentu temu Niemcowi, że Niemiec może wyjść. A ten Niemiec znów mało w portki nie nasikał, bo nie miał dokumentu wyjść, a oni wiedzieli, biorą go jako jeńca. Więc tam ich właśnie popędzili, przestraszyli, żeby na przyszłość tego nie robili i służby przy Czerwonym Krzyżu, bo takie różne pełniliśmy służby przy generale. – Jakim? – Zdaje się, to był brygadier Watson. On był na Norymbergę. Nas dwóch tam szło na służbę, nauczyli nas jak składać i rozkładać flagi amerykańskie, bo to tak w koperty się składało, więc zawsze rano braliśmy tę flagę do masztu, wieszaliśmy, wciągaliśmy flagę, on zawsze wstał i wyszedł też, salutował, a wieczorem ściągaliśmy tę flagę, później ją składaliśmy w tę kopertę i znów do przedpokoju aż do rana. Bardzo grzeczny, nic nie krzyczał ani nic takiego. Jak mu się raz zsalutowało, to już więcej nie chciał, na tym się kończy. Tak że nie wiem dlaczego, ale on wołał. I nas porucznik łącznikowy, Amerykanin, jak on przywiózł żonę i on niedaleko od nas takie wille dostał od kompanii, to jego też tam pilnowaliśmy, nie jego, a jego żonę, bo to w lesie było, więc to bała się. Właściwie jeden jego syn urodził się w Norymberdze. I on dosyć pierwszorzędnie był z nami, tak jak kolega. Nie było z nim żadnych kłopotów. Później, co chciałem powiedzieć, jeszcze takich różnych parę służb dochodziło. Dwóch z mojej kompanii otruło się na służbie, bo był budynek, też nie daleko od naszej kompanii. – Dwóch Polaków, tak? – Tak. Gaz albo się wyłączył, albo zgasł, albo dopływu nie było, a później dopływ przyszedł, a to na dworzu nie stali, tylko w środku budynku siedzieli. Na pewno ciepło było, jak zasnęli, gaz wszedł, zmiana jak przyszła, to już znalazła ich nieżywych. To ich pochowali na cmentarzu wojskowym.

Który to był rok?

Zdzisław Łożyński: 1947. Jakie było polityczne nastawienie żołnierzy kompanii? Politycznie nikt nas nie zmuszał, nie dawał żadnej polityki. Co było, jak przyjechaliśmy później z tego, z Mannheim do Norymbergi, dostaliśmy, Amerykanie przyjechali i później od nowa zaczęli wypytywać się ludzi, dali nam, takie formy wypełnili i oni później sprawdzali, bo to zrobili podobne w Mannheim. Więc oni tam musieli sprawdzić, a później przyjechali tu udowodnić. Okazało się, że my mieliśmy kilkunastu folksdojczów i tym podobnie, w Wehrmachcie służyli, w lotnictwie niemieckim, jako Polacy, ci zostali usunięci natychmiast, wyrzuceni. A tak to nie było. Jedna kompania, co ja wiem, byliśmy tam u nich kawałek od Norymbergi. Jej łącznikowy oficer był przy Drugim Korpusie Polskim we Włoszech, łącznikowym czy coś takiego. I jemu się Anders podobał. I oni musieli mieć w świetlicy, w jadalni portret Andersa. Każdy czekał, bo myśleliśmy, widzi pan, tak jak powiedziałem, jak w [niezrozumiałe] na służbę, skończyłem służbę, drugi raz przyszedłem na służbę, a już mam dodatkowy rozkaz, zapasowe amunicje, to nie przyszło z kompanii, to przyszło od Amerykanów, czyli spodziewali się coś z Rosją.

A kiedy to było?

Zdzisław Łożyński: 1947 rok w lato. W lato, wiem, bo ciepło było, ja w koszuli na służbę szedłem. Więc cięcia było polityczne. Znaczący Amerykanie, dlatego ja mówiłem, mieli niby dołączyć nas do wojska i tym podobnie, że nie potrzeba tam Amerykanów, by złuzowali, a my byśmy stali i później była ta nadzieja, że wrócimy do Polski, bo według... To znaczy ja nie liczyłem ani nic, ale co w tym czasie mówili czy pisali w tej ostatniej wiadomości, co wychodziły, że to było prawie sto tysięcy nas młodych pod bronią w kompaniach transportowych i tym podobnie. To była masa wojska. Potrzebowali tylko ciężkie działa i motoryzację. To jest armia. Więc było to politycznie. A w drugim wypadku, że okupacja miała trwać 25 lat. To, co oni mieli w planach. Aż Rosja zepsuła i wtedy oni stworzyli wschodnie Niemcy, a zachód połączył wszystkie strefy i zrobił drugie. Wtedy Niemcy nie chcieli. Wtedy właśnie później te kompanie, co była koło nas, to była 4128, zdaje się, oni nawet nie byli w tym Mannheim. Później tak rozwiązali, niektórych przesyłali do innych kompanii. Z mojej kompanii paru wyjechało do drugiej kompanii, ale ja się jeszcze nie patrzę, że nie ma szansy na wyjazd do Ameryki szybko, bo to trzeba aplikację i tym podobnie, siedzieć w Niemczech i co, w cywilnym obozie jedzenie nie szczególnie i tym podobnie, i co tam będę robić, czekał latami zanim na wyjazd się gdzieś wyjedzie, więc mówili, że będą usuwali niektórych ludzi i kompanię rozbiją. Wtedy ja powiedziałem, że ja mówię, ja sobie dam radę, to niech ktoś się dostanie na moje miejsce, a ja miałem zamiar emigrować. I... Zanim do tego dojdziemy, niech pan jeszcze... Jak układały się stosunki między żołnierzami kompanii, a ludnością cywilną? Zarówno Polakami w obozach, jak i Niemcami, którzy tam mieszkają. W obozach, co ja długo nie byłem, cywilnych, było dużo bałaganu, bo niektórzy byli z okolic albo później coś, to wiedzieli, to rabunki czy kradzieże. Nasze warunki mieszania z cywilami były dosyć dobre. Dosyć dobre lokalnie. Lokalnie nie mieliśmy kłopotu. Wszystko było lekko, łatwo było, bo znów dużo z Niemcami do czynienia mieliśmy, bo było więcej kobiet jak mężczyzn, więc się już mieszało, bo później taka ona wzięła, a to ojciec, a to matka przedstawiła i tym podobnie. Dużo było, mój kolega, jeden był, to on pracował na gospodarce niedaleko Regensburga. Jego wywieźli spod Lwowa jako młody chłopak, to on nie pisał, nie czytał. Nauczył się po niemiecku. Jego dosyć dobrze traktowali w tej gospodarce. Potem też partyjniacy to musisz tych, w stajni niech śpią albo coś takiego, a to w zimę, to ona miała takie przyszykowane dla niego łóżko, to w stajni było takie zrobione, a on spał w domu, że jakby ktoś wpadł, to on by uciekł i schował się w stodole, bo oni też musieli

się pokrywać. A nawet oni mieli jednego z rodziny, który był w wojsku oficerem. Jak przyjeżdżał, to on też przeklinał i mówi, co my się wygłupiamy. Ja później z nim byłem właściwie u nich na wizycie parę razy. To tylko krótki przejazd autobusowy. Bardzo grzecznie nas przyjęli, i dobrze, i stosunki były prawidłowe. To było jednostki i jednostki. Były jednostki złe, co ja wiem, na nich byłem obecny, gdzie jak Amerykanie wkraczali, było dużo Słowian. Polacy, Czesi i inni, że był taki Polak czy inny wyszedł, i mówi: „A, to ten partyjniak, on mnie bił albo coś takiego”. To jego zabierali, już go więcej nikt nie znalazł. Więc ja kiedyś mówiłem, ja nie miałem takich stosunków osobistych, ale drudzy byli i dobre stosunki utrzymywali, przyjeżdżali, wyjeżdżali, odwiedzali się nawzajem. Nie było... A poza tym ci wszyscy główni, to byli pozamykani w obozach, a reszta to byli zwyczajni ludzie, którzy tak jak wiatr dmuchną musieli iść. Nie mogli iść przeciwko, więc z tymi były dobre stosunki. A z Polakami z obozów dla [niezrozumiałe] Z Polakami to nie było nieszczególnie, bo to tak, niektórzy to już siedzieli długi czas w obozach, nic nie robili, to siedzieli tylko po obozach, gdzieś poszli w pola czy gdzieś, to tam właśnie na gospodarkę albo coś takiego, rabunki. Więc te były gorsze. Nawet jak myśmy pojechaliśmy do obozu, bo my nieszczególnie, my osobna grupa byliśmy. Człowiek nie miał nic wspólnego, za wyjątkiem, że po polsku się mówiło. I ja, i paru innych złożyliśmy podania. I Ameryka, to wszystko daleko. Jeżeli się nawet sytuacja zmieni, to z Anglii będzie bliżej dla mnie do Polski, jak z Ameryki, bo kilkunastu z nich, których mam na zdjęciach i których pamiętam, do Belgii, do Francji. Ja wstawiłem Anglię pierwszą, Francję drugą na liście. I Anglicy mnie później zawołali, to [niezrozumiałe] zdaje się, tam pojechaliśmy i tam zobaczyli nas. Jak ja pokazywałem panu, to prześwietlenie miałem, to lekarz lokalnie sprawdził jeszcze, czy ja w porządku, i ten z ambasady nawet, zdaje się, nie był ambasador, ktoś z biura, dał kartkę papieru, czy się czyta, pisze. Mówi: „Dobrze, to poczekajcie, jutro szykujemy obóz, ten transport”, więc kopalnia, ja miałem do kopalni jechać, ale sytuacja się zmieniła, że w kopalni zastrajkowali, nas później wsadzili do takiego po wojsku barakach i pracowaliśmy w okolicy dla gospodarzy.

W Anglii.

Zdzisław Łożyński: W Anglii, tak. Zaniedbania wojenne pomagali mi zlikwidować. Oni też, nawet jeżeli mieli swoich ludzi, to pracowali dla nich, to niektórzy byli w wojsku i tym podobnie. A nas mieli, to na wiele tylko dni potrzebowali, na tym się kończyło, bo oni płacili do ministerstwa pracy, a ministerstwo pracy płaciło nam tygodniówki. A jeszcze wróćmy do kompanii na chwilę. Oprócz polskich kompanii istniały też kompanie złożone z innych narodowości. Łotysze, Litwini. To oni nazywali ich Baltic. Jak z nimi... Musieliście mieć jakieś kontakty. Nie mieliśmy nic wspólnego. Jak ja stałem na tym placu parad, gdzie te paliwa były, to my pilnowaliśmy z bronią, a ci Baltic company oni mieli takie wozy, beczkowszy i patrzyli się na wypadek, jakby coś rozlało czy coś, żeby to zapobiec zapaleniu się i tym podobnie. Czyli oni tylko takie inne prace wykonywali, w ogóle bez broni, bez niczego. Tak że z nimi, i nawet te kompanie świętokrzyskie też były, ale też te nasze kompanie nie miały za dużo ze świętokrzyskimi.

Tymi z Brygady Świętokrzyskiej.

Zdzisław Łożyński: Tak, z Brygady. To też wszystko było oddzielone. Oni mieli mniej więcej tak same numeracje jak my, dostali i tym podobnie, ale już były oddzielone. I ich, jak pamiętam, nie wzywali do Mannheim na przeszkolenie. I właśnie ja opuściłem tę kompanię, i co ja wiem, że ten porucznik Witwicki, objął jako kapitan i ich wywieźli do Niemiec, bo Niemcy nie chcieli później już tych kompanii w Niemczech mieć. Więc je zlikwidowali i później wywozili, więc ich

wywieźli do Francji, a ja przyjechałem do Anglii. A jeszcze jakiś zabawny epizod związany z [niezrozumiałe] Z nim, tak, teraz ciekawa historia, bo ja gdzieś byłem we Frankfurcie, bo tak mieliśmy wolne czasy, to sobie człowiek w pociąg czy w tramwaj wsiadł, w mundurze, nikt nie pytał się nas o bilet, mogłem sobie jeździć, gdzie chcę. I byłem, i patrzę, jakiś jest, i mówię: „Skąd ty?”, a on mówi: „Ja z Hannover”, a ja mówię: „Jak ty długo w Hannoverze?” a on mówi: „Tak”, a ja mówię: „Czy czasami nie zostałeś z twojej kompanii porucznika pilota?”, a on mówi: „Tak, dostaliśmy go”. W 1946 roku, a ja z nim się spotkałem w 1947. Mówi: „Tak, dostaliśmy tego pilota”. I on mówi: „On później gdzieś poleciał samolotem i przywiózł śliczną dziewczynę”. On nawet nie wiedział, skąd on ją przywiózł. Gdzieś poleciał samolotem, przywiózł śliczną dziewczynę i ona później gdzieś odeszła, a później on opuścił kompanię. Czyli on pojechał... – Poleciał do Polski. – To powiedzmy, jest w Hannoverze czy gdzieś, dali mu samolot czy bliżej granicy, mały samolocik, a on był przedtem, bo jak ja się z nim spotkałem, to on wracał z Polska, czyli on rozpoznał teren, miejsce, wszystko już było uszykowane. Wylądował gdzieś, zabrał ją i wywiózł, i przywiózł do Niemiec zachodnich. A zrobił swoją robotę, wtedy opuścił kompanię i znów dali jakiegoś innego dowódcę, a gdzie on poszedł? Jeszcze mówił pan, że pan w czasie służby spotkał tego bohatera z pisma „Karta”. „Karta” zamieściła... A nie, to nie w czasie służby, to tutaj. A ten, co w „Karcie” go podali, fotografię jego. Ja rozpoznaję na swoich fotografiach, że on był w mojej kompanii. Ale nie pamiętam, żebym jakieś miał więcej coś wspólnego, bo to tyle ludzi było, kilkanaście plutonów, że nawet prawie my się nie znamy nawzajem. Ile było osób w pana kompanii? To była kompania 4125. 4125. To nas było cztery, 36... Do 300 ludzi w kompanii. Bo niech pan pamięta, mieliśmy plutony, później mieliśmy swoją orkiestrę, która na służby nie chodziła. Później kucharzy, magazynierów i tym podobnie, sanitariusza, który na służbę nie chodził. W biurze, którzy na służbę nie chodzili, więc jakieś 300 ludzi co najmniej było w kompanii albo więcej. A tak jak mój pluton brał służbę i kończył obiad, a ten inny pluton brał inne służby gdzieś od 8:00 i tym podobnie, się mijaliśmy i nigdy się nie widzieliśmy. A spotkał może pan takiego żołnierza, chyba nawet oficera albo podoficera, który nazywał się Zientala albo Ziental? Nie, nazwisko nie przypomina mi. Nazwisko mi nie przypomina. Ja dlatego nawet swoich wszystkich kolegów nie znam. Tak jak mówię, ten spod Lwowa, to ja wiem, Górniak, drugi na zdjęciu to on był Warszawiak, Jerzy Materna z Warszawy, matkę miał właściwie, on z Powstania, matka jeszcze żyła, bo on później z Niemiec listy wysyłał, też je dostawał. Takich niektórych, co my więcej razem byliśmy na popicie, na dziewczyny i tym podobnie, to my się więcej znaliśmy w grupie. Leon Urbański, on tu do Anglii ze mną przyjechał, tylko że nie poszedł do tego samego obozu, bo nas zawieźli Heaven Hunts to Portsmouth to tak przywozili tych wszystkich, a stamtąd dopiero rozprawdzali po Anglii, po fabrykach, jak tam i to kobiety też do pracy. I ja byłem w tej grupie, gdzie mnie wzięli na farmę. On gdzieś wylądował dalej, bo ja później miałem korespondencję z nim, on pracował w Anglii, baraki były wojskowe. Adres to moja mama, ja już nie pamiętam, z tego, on pracował jako kucharz w kantynie oficerskiej. On mi mówił wtedy jakbym chciał z farmy, mówi, za kelnera przyjść. Mówił pan wczoraj, że duża grupa osób z kompanii trafiła do armii amerykańskiej, a z nią do Korei. Później właśnie, jak byłem w Anglii i jak się zaczęło w Korei, wtedy się czytało całą masę polskich nazwisk, zabity, zabity, zabity w Korei. W jaki sposób oni trafili do Korei, jak to było? Więc tak jak ja, czekali na wjazd do Ameryki. Do Anglii ja wyjechałem, oni czekali na wyjazd do Ameryki, a później Amerykanie im zaproponowali wstąpienie do wojska i już masz gwarantowany wyjazd do Ameryki. To to, co ja rozumiem. Ci kompaniacy, bo wtedy otworzyli te fuldy, jakby nie chcieli gdzieś iść, to by może poszli do tej fuldy na przeszkolenie i tam siedzieli dalej we Francji czy gdzieś. Ale jeżeli zaofiarowali, to się nikt nie spodziewał, że umrze, to można nawet na miejscu, tak jak tych dwóch otruto się gazem, umrzeć, to człowiek nie wie, co za rogiem i dlatego później nawet „Dziennik Polski” żołnierza w Londynie pisał, że cała masa nazwisk to byli kompaniacy, którzy się wciągnęli,

a przeszkolenie już mieli – zmienili tylko mundur. – Jasne. Tak, więc ja mówię, w sensie tym ja może byłem bardziej, więcej szczęścia miałem jak rozumu, bo ja nieźle wylądowałem. To znaczy głodu nie cierpiałem, zimna nie cierpiałem, warunki dobre miałem, tak że nie mogę narzekać, a ci niektórzy... No, Berling może dobrze we Francji, co powyjeżdżali, może dobrze się urządzili, do Holandii, to te różne kraje brały. Ci, co do Brazylii obiecali tam ziemię na gospodarkach, inne rzeczy, ci, co tam powyjeżdżali, to na pewno bardzo ciężko, czy nawet z Argentyny, z Drugiego Korpusu dużo wyjechało do Argentyny, tam warunki nie były szczególne. Nie można narzekać na Anglię i tym podobnie, ale nie było tak źle. Więcej kontroli, więcej opieki było i gwarancji. Nikt nie został wyrzucony na ulicę i szukaj. Każdy dostał pomieszczenie, pracę. A później, jak się już rozpoznało, to pan sobie zmieniał pracę, mieszkanie, pracę i tym podobnie. A później z chwilą, to znaczy ja nawet ożeniłem się, żona Angielka, to już włączony zostałem do Anglików, przyłączony, bo to rodzina i tym podobnie. To to szło. A później jak obywatelstwo przyjąłem, to już ja odpadłem od listy i policyjnej listy, i z ministerstwa pracy. Ja już, tak jak Anglik, wolny byłem. Paszport dostałem już.